

# Jak ognia szukałem



JOANNA PAPUZIŃSKA

## *Jak ognia szukałem*

OPRACOWANO NA PODSTAWIE BAJKI LUDOWEJ *Co nigdy prawdą nie było ani nie będzie* OPOWIEDZIANEJ PRZEZ MICHAŁA MATYSA

Jakem pasał owce na Polanie Waksmundzkiej, to mi się tak wydarzyło. Było nas tam czterech na bacówce: baca — najważniejszy, co całym stadem zarządzał, dwóch juhasów — Jasiiek i Kuba, no i ja, najmłodszy, co się prawie nie liczyłem, bo na razie tylko owce do dojenia zaganiałem.

Jednej nocy taka przyszła ulewa, że nam woda ognisko zalała w szałasie. Całe palenisko wodą zaciekło.

Jak tu żyć? Trzeba przecież sery warzyć, oscypki wędzić, a i dla nas samych stawy ugotować.

Ale to nie było tak łatwo z ogniem, jak się wam dziś wydaje: pstrykniesz zapalniczką czy zapalkę zapalisz i już ogień płonie. Dawnymi czasy nie było tego wszystkiego, jak się miało ogień w chałupie czy też tak jak u nas, w szałasie, to się go cały czas podtrzymywało, żeby nie zagaś.

A jeśli zagaś ogień, no to był kłopot. Mniejszy w Kościelisku czy w Zakopanem samym, bo się szło do sąsiada z wiaderkiem jakim, dostawało się od niego parę drewek płonących, niosło się do swojej kuchni, tam się obkładało na palenisku jakimiś suchymi wiórami czy patykami, dmuchało się chwilę, aż się podpałka ogniem zajęła, no i już.

Ale jak się pasło owce na hali, to nie było żadnych sąsiadów blisko, trzeba było wtedy kawał drogi iść, żeby od kogo ognia dostać.

Tak też i teraz baca mówi do starszego juhasa:

— Jasiiek, polec no pod Koszystą, tam siedzi baca i pasie, poproś go ładnie, niech ci ognia da.

I poszedł Jasiiek, kawał czasu go nie było, ale wrócił z niczym.

— Oj, baco, mówią, że u nich tak samo zlewa straszna była i że im ogień zalało.

— Ha, mówi baca. — To może byś ty, Kuba, poleciał na Skupniów Uplaz, tam baca z owcami siedzi, może on ma ogień, to ci da.

— Ano, dobrze — mówi młodszy juhas — to idę.

Czekamy więc na Kubę, nie ma go i nie ma. Południe już mija, gdy zjawia się w końcu Kuba, ale też z niczym przyszedł.

— Nie mają ognia i na Uplazie. Cały szałas im zalało. Co to robić?

— Baco, to może ja pójdę? — zapytałem. — Bo coś mi się widzi, że trzeba zejść do Kościeliskiej, do leśniczówki, tam przecie muszą mieć ogień.

— Ale już wieczór idzie i żebyś mi tylko nie zbłądził! Jakbyś się zapóźnił, to w leśniczówce przenocuj i jutro świtem wracaj, po nocy się nie wałesaj.

— E, baco, ja nie zabłądzę, znam drogę na pamięć.

— No, to idź — baca mówi.

Wziąłem blaszankę, nakładłem do niej podpałki drobno nastruganej i trochę grubszej też, pół oscypka do kieszeni wepchnąłem. Idę.

Jeszcze popołudniowe słońce błyskało, kiedy przez halę szedłem. A jak już niżej, pod świerki zaszedłem, to się ściemniło. Ale dróżka jeszcze wyraźna, prowadzi mnie dobrze. Idę, blaszanką macham, ale nie za mocno, żeby podpałki nie rozsypać.

Nagle jakiś głaz drogę mi zagroził, no to go obszedłem. Ale jeszcze jakiś drugi przede mną leży. Obszedłem go znowu zgrabnie, tylko, że ścieżka mi spod nóg znikła. No, myślę sobie, zwracaj, chłopie, boś źle poszedł.

Zawróciłem, głaz wymijam, a tu jakieś drzewo, przez wiatr widać zwalone leży.

O, tu przecie nie byłem, myślę sobie, zbłądziłem, czy co?

Prawdziwie zbłądziłem. Krążę między wantami, niby jakaś ścieżka się odsłania, ale za chwilę znika. Czuję, jakbym w kółko chodził.

Przysiadłem na pniu, oszczypka podgryzłem, żeby myśli zebrać.

Aha, wiem. Na głaz wyleźć trzeba, to wtedy ścieżkę zobaczę.

Tak i zrobiłem, rozglądam się z góry, coś jakby drożynę przede mną widać. Zeskoczyłem z głazu i ścieżką, zadowolony, idę.

No, była to ścieżka, tylko że jakaś inna, jakby prowadziła ona do wąwozu jakiegoś, wąskiego i skalistego. Ale cóż, nie będę się wracał znowu. Droga taka czy inna, dokądś przecież prowadzić musi.

No, dobra, idę dalej, a tu przede mną jakieś światełko błysnęło.

O, myślę sobie, gdzie światło, tam i ogień, a gdzie ogień, tam i jakaś żywa istota musi być. Co prawda, droga coraz dziwniejsza, jakby w głąb skał gdzieś prowadziła, ale co tam. W końcu do światła doszedłem. Patrzę, a ja w jaskini jestem. Ognisko tu się pali, a przy ognisku smok leży zielony, brzuch sobie wygrzewa i ciekawym okiem na mnie patrzy.

— Oj, panie smoku, nie zjadaj mnie, ja tylko po ogień przyszedłem! — jęknąłem.

— Głodny nie jestem — odpowiada smok. — Tylko z nudów umieram i dlatego cię tutaj zwabiłem.

Mogę ci dać ogień, ale przedtem musisz mi jaką bajkę opowiedzieć, która mnie zdziwi. Siadaj i gadaj.

W głowie mi trzeszczy z przejęcia. I jedyna bajka, jaka mi się przypomina, to o tym smoku, co to pękł z jednego boku...

No, ale przecież tej mu nie opowiem! Po pierwsze, zna ją na pewno, bo każdy ją zna; a po drugie, to bajka smokom nieprzychylna! Jak ją usłyszy, to się wścieknie na mnie i pożre, choć niby to nie jest głodny!

A smok patrzy i czeka, więc drżącym głosem zaczynam gadać:

Ja też nie jestem głodny, panie smoku, bo jak tu do was szedłem, to nagle mi coś tak zapachniało pięknie, jakby kurczak pieczony. Rozglądam się, skąd taki zapach płynie, i widzę drzewo wielgachne, w tym drzewie dziupla i to z niej tak pachnie. Wdrapałem się na drzewo, wlażłem do dziupli, a tam w środku półmiski: kurczaki pieczone, szynki, schaby, kielbasy... Najadłem się wszystkiego do syta i myślę, że pora iść dalej. Ale tak się najadłem, tak się spasłem, że z dziupli nie mogę wyleźć. Nie da rady. No, myślę sobie, żebym tu mógł gdzie jakiejś siekierki pożyczyc, to bym się stąd wyrąbał... Wyskoczyłem na drogę, a tu przy drodze staruszek młody siedzi na drewnianym kamieniu, a obok siekierka stoi oparta.

— Pożyczcie mi, gazdo, tej siekierki, bo się muszę z drzewa wyrąbać.

— Ano, mogę ci pożyczyc, ale uważaj na nią, bo ona wkrótce będzie miała małe, siekierzyć się będzie.

— Dobrze, będę uważał — obiecałem.

Wziąłem siekierkę, z powrotem do dziupli wlażłem, zacząłem się wyrąbywać...

— Hejże, stój! — przerywa mi smok. — Jakże to? Przecież jak już wyszedłeś z dziupli po siekierkę, to po coś wlażił z powrotem? I o jakim znów gadasz drewnianym kamieniu?

— Panie smoku — odpowiadam mu. — Toż na tym bajka polega...

— A no, to gadaj dalej! — zgadza się smok.

— Dobrze, będzie dalej — i ciągnę swoją opowieść:

— No więc się wyrąbuję, ale z tego wszystkiego nie zauważyłem, że siekierka się właśnie zaczęła siekierzyć. A jak się osiekierzyła, posypały się z niej siekierki, małe, ale zajadłe. Jak zaczęły wkoło rąbać, to całe drzewo zrąbały. Trach! Runęło na ziemię.

— No i coście, głupki, narobiły! Zaraz mi to naprawcie! — krzyczę.

Przestraszone siekierki wzięły się do roboty i w mig drzewo poskładały i podniosły. Ale że ja w tym momencie stałem blisko wierzchołka, to porwały mnie gałęzie w górę i podrzuciły aż do chmur, aż do nieba.

Byłbym spadł z wysoka, ale tuż obok, na białej chmurce, Matka Boska akurat pranie robiła. Zobaczyła mnie, złapała za kurtkę i wciągnęła na chmurę.

— Oj, dziękuję, Najświętsza Panienko, ocaliłaś mi życie!

— A ty mi się możesz odwdziżyć, jak mi pomożesz pranie rozwiesić. — uśmiecha się do mnie Matka Boska. — Masz tu sznury, pozaczepiaj je na chmurach i bieliznę powieś.

Tak więc rozwiesiłem prześcieradła, ręczniki, poszewki i co tam jeszcze było.

— No, chłopaczku, a teraz wracaj na ziemię. Jeszcze jesteś za młody do nieba.

Dała mi Najświętsza Panienska ostatni kawałek sznura, to go uwiązałem do niebieskiej bramy, złapałem i zjeżdżam na dół. Ale mi sznura zabrakło, więc musiałem wrócić, od góry obciąć i u dołu przywiązać...

A smok nareszcie złapał sens tej bajki i śmieje się coraz głośniej:

— Obciąć i przywiązać! Ha, ha, ha.. — aż brzuch mu się trzęsie, a ja gadam dalej:

— Jeszcze ze trzy razy tak musiałem sznur od dołu przedłużać, ale nie starczało. Więc jak już blisko było do ziemi, to myślę sobie: zeskoczę!

Jak skoczyłem, to zgrabnie się udało, tylko że w jakieś mokradło wpadłem z głową i nie mogłem się wydostać. Bagno takie, że ani wyjść, ani wypłynąć. No, myślę sobie, żeby tu gdzie kubła czy miski można pożyczyć, to bym tę wodę wyczerpał!

Więc do pobliskiej chałupy pobiegłem, pożyczyłem wiadro i dalejże wodę czerpać. Nabieram i wylewam, nabieram i wylewam, a tu nic nie ubywa! Co wyleję, to woda znowu wraca, jeszcze jej przybywa nawet! Zabrałem wiadro, gospodarzowi do chałupy odniosłem, wróciłem znów do mokradła i siedzę.

Dopiero jak strzelcy z Poronina wyszli na polowanie, to mi nagnali zająca. Zając przysiadł tuż koło mnie, to go złapałem za ogon, okręciłem sobie ten ogon koło ręki i jak nie huknę! Zając się tego krzyku przestraszył, wyskoczył z mokradła i mnie za sobą wyciągnął.

— Ha, ha, ha — zaśmiewa się smok, tak głośno, aż się skały trzęsą. A brzuch mu napęczniał wielki, jak balon jakiś.

„Oj — myślę sobie — żeby mi on tylko ze śmiechu nie pękł, jak ten Wawelski, co się wody opił...”

Ledwie mi ta myśl przeszła przez głowę, a tu huk, grzmot straszny i płomienie! Wystrzeliło mnie jak z armaty, lecę, niesiony podmuchem przez wąwóz, przez las, przez hałę mnie wyniosło i rzuciło na trawę, niedaleko bacówki. Spadłem między owce, a one tylko gapią się na mnie głupio.

Przyglądam się sobie, trochę mnie osmalilo, smoczą łuską obsypało, ale nawet blaszanki z ręki nie wypuściłem. I szczęśliwie, od tego wybuchu smoka zapaliły się wióry w blaszance i miałem przeciw ogień!

Zaniosłem go do szałas, włożyłem do paleniska, obłożyłem suchym drewnem i rozpałiło się, że aż hej.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/jak-ognia-szukalem/>

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Dorota Kowalska.

ISBN 978-83-288-5430-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).